Z PIERWSZEJ LINII FRONTU

Warszawa, dnia 26. VIII. 1944 roku

W SCHRONIE

Na odgłos eksplozji podniosła się dozorczyni p. Marcinowa ze swego, stojącego w kącie podwórka, krzesełka, na którym cerowała skarpetki, mruknęła: "bodaj cię diabli..." - potem podniosła głowę i zaczęła wołać:

- Felek, a zlińo ze strychu, bo dranie szwaby strzelają z armat, to niebezpiecznie!

W odpowiedzi na to wychyliła się z małego okienka głowa małego chłopaka.

- Niech się mama nie boi! Poco mam złazić, kiedy daleko strzelają. Przejdę się po strychu i zobaczę, czy się gdzie nie pali.

- Może i racja, ale... - zaczęła Marcinowa. A cóż tam się dzieje? - zawołała zaniepokojona. Istotnie z klatki schodowej dolatywał piekielny rumor, jakieś szczekanie, piski, krzyki:

- Ratunku! Pomocy! Umieram! Wyżymaczkę zabrałeś? Uważaj, jak niesiesz Maciusia! Prędzej! Och, umieram! Co się wleczesz, stary niedołęgo! Pimpuś kochanie, nie bój się piesku! Czemu oni tak strzelają?

Felek uśmiechnął się:

- To tylko pani Strachajło-Gadulska, ta z parteru schodzi do schronu.

Marcinowa pokiwała głową i wróciła na swe stanowisko w rogu podwórka.

W kilka chwil później pani Strachajło-Gadulska wpadła ze zwichrzonym włosem i małym, wciąż szczekającym pieskiem na ręku do schronu, ciągnąc za sobą męża, obładowanego różnymi sprzętami kuchennymi, trzcież klatką z kanarkiem i dość pokaźną walizą. Na widok ludzi porwało się z kąta pięciu panów, którzy ochraniając swe cenne żywoty, już od pięciu dniu siedzieli bez przerwy w piwnicy i zaczęły się pytania:

- Co słychać? Ciągle bombardują? Są jakie nowe wiadomości?

Pan Strachajło odstawił pakunki, otarł kraciastą chustką pot z czoła i wyszeptał:

- Beznadziejnie, wszystko stracone. Zginęliśmy.

A już w następnej chwili zaczęła jego małżonka:

— Pimpuś, cicho kochaneczku! Czyśmy się aby wszyscy zabrali? Zaraz, Pimpuś to jeden, Maciuś to dwa, ja to trzy, wyżymaczka - cztery, maszynka do mięsa - pięć, żelazko - sześć, trzy dusze do żelazka - dziewięć, pogrzebacz - dziesięć i ty, stary niedołęgo, to jedenaście; a było dwanaście, już coś, niedojdo, zostawiłeś. Ale co! Zaraz, zaraz, Pimpuś, Maciuś, ja, pogrzebacz, żelazko, dusze... już wiem: Zośka została na górze, leć stary i przyprowadź dzieciaka.

- Boję się - szepnął pan Strachajło.

- Bo to po dzieciaka. Ale na wódkę, to byś nawet na Bielany poleciał, nawet w tej chwili, niech by ci kto tylko zaproponował. Fatałach! Ciężko mnie Pan Bóg skarał takim mężem, za to, że nie słuchałam mamusi. Dobrze mi radziła: - Nie wychodź - mówiła-za tego...

- Dajże pani spokój i idź przynieś dzieciaka, póki jeszcze mało strzelają - przerwała Marcinowa, która w międzyczasie weszła do schronu i słyszała rozmowę.

- To sama pani idź - odparła pani Strachajło-Gadulska - mądra sobie; żeby mnie jaki odłamek ranił. - Następnie zwróciła się do pięciu mieszkańców schronu: - źle jest, panowie, bo Niemcy mają nową broń.

- N.?! - Wszyscy zamienili się w słuch.

- Tak, proszę państwa: wybuchające krowy. Sama czytałam. I dowiedziałam się od ludzi, jak to wygląda: w taką krowę napchali szwaby nafty, benzyny, kalichlorku, jakiejś tam gliceryny, prochu, dynamitu i innych łatwopalnych materiałów; później jak wystrzelą, to taka leci i strasznie ryczy, a jak wybuchnie, to dziesięć albo dwadzieścia domów rozsypuje się na mąkę. A ryczy to straszliwie, sama słyszałam.

Jakby dla potwierdzenia słów pani Strachajło-Gadulskiej rozległ się zgrzyt sprężyn granatnika.

Pani Gadulska rzuciła się na ziemię, wołając: - Ludzie - zginęliśmy, padajcie na ziemię, bo krowa leci!

W jednej chwili wszyscy pochowali się, jedynie pani Marcinowa stała na środku piwnicy i uspokajała:

- To daleko i nie do nas. A zresztą z tą krową to mi się wydaje, że to było inaczej.

Jeden z panów zdobył się na odwagę, wychylił głowę spod ławki i powiedział:

- I mnie się zdaje, że to niemożliwe. Jak by taką krowę wystrzeliwali, z czego?

- E, co to, to nie - odparła Marcinowa. - Bo czego Niemiec nie zrobił: z pokrzywy materiał, z chrzanu - marmeladę pomarańczową, z kory brzozowej - mąkę pszenną, z malarza - wodza, z ojczyzny - kupę gruzów i zgliszcz, a głupiej krowy by nie wystrzelił w powietrze? O co innego chodzi. Przecież by krowy nie marnowali. U nich to cenna rzecz. Mój stary był na robotach w Niemczech, zabrali go; to jak w Hamburgu zdobyli szwaby skądś krowę, to najpierw przez tydzień była wystawiona na widok publiczny, żeby ludzie wiedzieli, że mają zapasy mięsne, a później to ta krowa była dawana na kartki przez dwa miesiące. Toż by tu nie marnowali krów.

Tymczasem uspokoiło się trochę. Wszyscy powyłazili spod ławek i krzeseł. Pięciu panów, "schronowych" postanowiło zagrać w karty.

Upewniali się:

- Pan ma czas!

- Mam.

- I ja.

- I ja.

- I my także,

- To wspaniale się składa, że panowie są wolni - powiedział oficer, który niezauważony przez nikogo, wszedł właśnie do schronu - potrzeba mi właśnie pięciu panów do naprawy barykady. Panowie pozwolą za mną!

Chcąc nie chcąc poszli za porucznikiem "strategicy" schronowi.

- Ach, jakie to okropne, kto z nich wróci? Wszyscy zginą - zaczęła biadać pani Strachajło-Gadulska, a jej piesek zaczął wyć.

- Co, okropne! - powiedziała pani Marcinowa - Siedzi takich pięciu drabów w schronie i płaczą i kłócą się, a do roboty to nie ma komu iść. Wrócą, a narazie będzie trochę spokoju w domu. Żebyś tak jeszcze pani to wstrętne psisko przez maszynkę przekręciła, a swój język przez wyżymaczkę, to już byłby zupełny spokój.

Usłyszawszy te słowa pani Strachajło-Gadulska zemdlała, a jej mąż zaczął w kącie cichutko płakać. /M.G./

CHŁOPCY Z LASU

Po mchu miękkim nawykli stąpać,
W skok zastygli, czujni jak zwierzę -
Las ich w chłodnym strumieniu wykąpał,
Leśni chłopcy - zieloni żołnierze!

Wtem przez gęstwę rozkaz się przedarł,
Na polanę upadł, jak oręż
I ruszyli zbrojnym szeregiem -
W dzień otwarty - z piwnicy borów.

Oczy światłem ślepną i płoną -
Strzałą godzą we wroga pierścień.
Ruszają na Warszawę - i koniec.
Na swych barkach złoty niosąc sierpień.

My przyjmiemy was jasnym okrzykiem -
Dzwon najstarszy na alarm uderzy -
Gdy za swoim wejdziecie porucznikiem -
Miastu - w serce, zieloni żołnierze!